

TADEUSZ SIEJAK

Piękny Duch – Wieczny Rewolucjonista (w świetle listów)

Jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy współczesnych, zaliczany już do klasyków naszej literatury, Tadeusz Siejak był z zawodu inżynierem. Pracował kolejno w Zakładach Przemysłu Metalowego H. Cegielski w Poznaniu, Zakładzie Przemysłu Drzewnego w Miałach, wreszcie w Zakładzie Inżynierii Komunalnej w Chodzieży. Rozgłos pisarski zdobył powieściami: *Oficer* (1981, nagroda imienia Stanisława Piętaka, adaptacja radiowa 1982), *Próba* (1984, nagroda imienia Stanisława Wyspiańskiego, adaptacja sceniczna 1987, ekranizacja pt. *Po upadku* 1989), *Pustynia* (1987), *Dezert* (1992). Entuzjazmowali się nimi zarówno krytycy literaccy, jak i zwykli czytelnicy, jako że przedstawiały stan świadomości zbiorowej w Polsce lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Polacy odnajdywali w nich własne problemy, krzywdy, niepokoje. Młody, bezkompromisowy pisarz mówił im bez osłonek, w jakim kraju żyją. W realistycznym, nasyconym akcentami groteski obrazie codziennego życia prominentów partyjnych średniego szczebla oraz środowisk fabrycznych zawarł krytykę zdegenerowanego PRL-owskiego systemu. Na przykładzie klęsk, jakie stały się udziałem bohaterów jego powieści: inżyniera stażysty w fabryce lokomotyw (*Oficer*), wojewody (*Próba*), dyrektora wielkiego zakładu produkcyjnego (*Pustynia*) oraz doktora nauk technicznych w instytucie naukowo-badawczym (*Dezert*), ukazał tragizm ludzkiego dążenia do dobra w warunkach upadku norm moralnych, rozpadu więzi międzyludzkich, destrukcji języka publicznego i prywatnego, rozchwiania poczucia sensu pracy.

Uznany za pisarza politycznego, kronikarza przemian ustrojowych w Polsce, Siejak zrywał się na te i podobne „etykiety”, sprzeciwiał zamknięciu go w ciasnych przegródkach. Był kimś więcej. Był autorem powieści metaforyczno-filozoficznych oraz eseju filozoficznego – utworów, których nikt wówczas nie chciał wydać, a które autor cenił wyżej niż owe popularne i cieszące się społecznym uznaniem „kroniki”. Trzeba było, by zmarł i został obwołany klasykiem, ażeby zajęli się nim wydawcy. *Głód sensu* ukazał się w roku 1994 staraniem dyrek-

tora Graf-Punktu, Łukasza Szymańskiego, byłego szefa „Iskier”, gdzie Siejak wydał trzy pierwsze powieści; *Księżę czasu* – nakładem Spółki Wydawniczo-Księgarskiej w roku 1995, dzięki usilnym zabiegom entuzjasty Siejakowego pisarstwa, Henryka Michalskiego, historyka literatury z IBL (niestety przedwcześnie zmarłego). W świetle tych dwu książek pisarz istotnie wygląda inaczej. Ale i tak wciąż pozostaje nierozpoznany i niedoceniony. Rozległość jego pisarskich zamysłów można zobaczyć w pełni dopiero po lekturze ogromnej, nie dokończzonej zresztą i wciąż pozostającej w rękopisach (poza fragmentami publikowanymi w prasie, między innymi w „Twórczości” 2002 nr 1, „Akcencie” 2002 nr 4, „Gazecie Literackiej. Migotania, przejaśnienia” 2003 nr 2) sagi pokoleniowej *Tam, dołem płynie rzeka*, w której losy bohatera, Stanisława Sochy, rówieśnika autora, wpisane w dzieje PRL, są nieporównanym obrazem Polski lat 1946–1975. Kto jednak i kiedy wyłoży pieniądze na sfinansowanie tego kosztownego – i koniecznego – przedsięwzięcia, Bóg raczy wiedzieć, choć jedna część powieści jest przygotowana do druku.

Tym bardziej pożyteczne wydaje się sięgnięcie po listy Tadeusza Siejaka pisane do prywatnych osób. Jest tych listów, jak się zdaje, tyle, że gdyby je zebrać, powstałby spory tom interesującej epistolografii. Siejak bowiem, rozlewny w powieściach (każda była z powodów konstrukcyjnych skracana, kondensowana, zawsze przez samego autora i wedle jego uznania), lubił dopełniać je jeszcze komentarzami przekazywanymi w listach, być może, w trosce o to, aby go dobrze rozumiano. Wydaje się, że w ogóle miał silną potrzebę kontaktu z czytelnikiem, potrzebował tak zwanych informacji zwrotnych, oczekiwał ich, domagał się. Nie odrzucał uwag krytycznych, wręcz prowokował je – wszystkie były przydatne, pouczające. Zawsze i wszędzie szukał własnej prawdy. Był niezależny i odważny, trochę może przekorny, nie przyjmował ogólnie obowiązujących diagnoz społecznych, historycznych, politycznych – szukał własnego obrazu świata. Po *Oficerze* i *Próbie* został uznany za antykomunistę, w *Pustyni* i *Dezert* okazał się obrońcą i d e i (nie praktyki) komunistycznej, zwalczającym przejawy ponadczasowego zła, jak egoizm, pazerność, głupota, tchórzostwo, żądza władzy, które wypaczają najszlachetniejsze dążenia ludzkie. W eseju *Głód sensu* dał filozoficzne uzasadnienie swojej obrony komunizmu i potępienia kapitalizmu. Aczkolwiek jego diagnozy i prognozy budzą zasadniczy sprzeciw, w wielu przypadkach nie można im odmówić przenikliwości i słuszności. Gdyby Siejak żył, można by

pokusić się o rozmowę z nim – rozmowę, do której tak gorąco właśnie *Głodem sensu* zachęcał – ale jakże polemizować z jego duchem, zwłaszcza gdy oblicze świata zmienia się z dnia na dzień i, być może, on sam musiałby dzisiaj modyfikować swoje rozpoznania.

Listy Tadeusza Siejaka, które podaję do druku, pochodzą z mojego prywatnego archiwum i stanowią wybór podyktowany limitem miejsca. Dotyczą mojej redaktorskiej współpracy z pisarzem, która trwała trzynaście lat, od chwili złożenia przezeń maszynopisu *Oficera* w „Iskrowej” Redakcji Debiutów (1980), do moment ukazania się *Dezertera* w innym już wydawnictwie, w Polskiej Oficynie Wydawniczej „BGW”, jednakże za sprawą pierwszego wydawcy Siejaka, dyrektora Łukasza Szymańskiego. Nie ma już śladu po tamtym czasie, wszystko się zmieniło. Nie ma, niestety, Tadeusza Siejaka: zmarł po przewlekłej, ciężkiej chorobie 7 czerwca 1994 roku w Chodzieży. I po nim prawie ślad zagał. Książki jego poszły w zapomnienie (w każdym razie żadnej z nich nie wznowiono), nazwisko pisarza nieomal zniknęło z łamów czasopism (poza wymienionymi wyżej patronami nieznannej sagi). Jedynie badacze literatury je wymieniają, no i chodziłscy przyjaciele pisarza starają się podtrzymywać pamięć o nim (nakładem Klubu Literackiego imienia Tadeusza Siejaka w Chodzieży, przy finansowej pomocy Chodzieskiego Klubu Gospodarczego, ukazał się w roku 1999, pod redakcją Krzysztofa Polarka, zbiór szkiców pt. *Próby. O prozie Tadeusza Siejaka*). Z pięciuset drzewek, które na kilka lat przed śmiercią posadził na swoim chodzieskim osiedlu, przetrwało niewiele – sporą część wyciął sąsiad-zawistnik, nie mogący ścierpieć ideowego trudu pisarza. Autor *Oficera* wszak, ów Piękny Duch – Wieczny Rewolucjonista, był w istocie żarliwym propagatorem pracy: organicznej, twórczej, o d p o d s t a w, pracy, która przemieni oblicze człowieka i świata. Był marzycielem wcielającym swe idee w słowa i pragnącym, by słowa te stały się ciałem. Umierał w poczuciu przegranej. Czy jednak do końca przegrał, cały umarł? A może jednak ziarno jego siewu znalazło gdzieś urodzajny grunt?!

Z listów

Chodzież, dnia 10.12.80 r.

Szanowna Pani!

Mam przed sobą kopię listu, jaki wysłałem do Pani w zeszłym tygodniu, a pisałem dnia 4.12.80 (w dacie jest omyłka: 4.11.80). W liście tym było zdję-

cie i życiorys. Widać, list nie doszedł jeszcze do celu. Na wszelki wypadek wysyłam drugi*.

Urodziłem się 22.09.1949 roku w Poznaniu i tam, na Dębcu, mieszkałem do 1977 roku. Mój ojciec był piekarzem, w 1953 roku zabrano mu piekarnię i od tego dnia pracował w wielu różnych miejscach, aż wyłądownął w Cegielskim. Matka nigdy nie pracowała poza domem.

Skończyłem Politechnikę Poznańską, jestem inżynierem elektrykiem. Byłem kolejno konstruktorem, głównym energetykiem, projektantem, teraz się „zdeklarowałem” zawodowo zostając zastępcą dyrektora**. Myślę, że powrócę do projektowania.

Jestem bezpartyjny, należę do Solidarności. Nie mam żadnego przygotowania teoretycznego do uprawiania literatury.

„Oficer” to moja pierwsza samodzielna książka wydana (jeżeli będzie wydana, w co jeszcze nie wierzę)***.

Uważam, że n a j l e p s z y m s p r a w d z i a n e m c z ł o w i e k a w n a s z y m u s t r o j u j e s t s t o s u n e k d o p r a c y, d o w ł a s n o ś c i o g ó ł u i d o d r u g i e g o c z ł o w i e k a.

Mam bardzo konserwatywne poglądy na rodzinę. Konserwatywne, jeśli wziąć pod uwagę ogólnie panującą „modę” wypracowaną w naszym kraju. Jestem za rodziną silną, trwałą i liczną (mądrze liczną). Rodziną-opoką na całe dobre życie.

Moi autorzy i ich książki: Cronin (cały), Karol May (ten zachęcił mnie do czytania i za to będę wdzięczny jego bajeczkom), Mika Waltari („Egipcjanin Sinuhe”), Steinbeck, Prus, Faulkner, Joyce (jego poradnik formy). Nie umiem powiedzieć, dlaczego nie lubię Hemingwaya i Cortazara, jeżeli na przykład odpowiadają mi London i Llosa.

Literatura, moim zdaniem, żeby była dobra, musi być obiektywna w opisie (w sensie merytorycznym, nie formalnym) i subiektywna w stawianiu pytań lub diagnoz, jeżeli takie stawia. To zapewnia bogactwo literaturze jako całości.

W kolejnych pokoleniach sztuki, w tym literatury, ja rozróżniam dwa, następujące prawie zawsze po sobie. Pierwsze – to tacy, których krytycy nazywają „czystymi formalistami”, a którzy wynajdują sposoby tworzenia; drugie – to tacy, którzy potem te wynalazki spożytkowują. Można powiedzieć – wyrażają sensy i idee środkami już wypróbowanymi.

Myślę, że mimo wysiłków z mojej strony nie należę do pierwszej grupy. Maluje farbami, które zrobił kto inny; to przykre, ale prawdziwe.

No – i wyszedł mi manifest zamiast życiorysu. Spieszę zawiadomić, że w sobotę, 6.12.1980 r. urodził nam się syn. Drugi syn, a trzecie nasze dziec-

ko. To mnie na jakiś czas unieruchamia. Kończę już, pozdrawiam serdecznie.

Tadeusz Siejak

* List był odpowiedzią na prośbę redakcji o informację autobiograficzną potrzebną do wyposażenia *Oficera*, przygotowywanego właśnie do druku. Powieść ukazała się nakładem „Iskier” w roku 1981.

** Zakładu Inżynierii Komunalnej w Chodzieży.

*** Miał powody nie wierzyć, ponieważ *Oficera* odrzuciło mu wcześniej, w obawie przed cenzurą, kilka wydawnictw.

(Chodzież) 7.06.1981 r.

Szanowna Pani,

serdecznie dziękuję za informację o „Oficerze”. W połowie czerwca, będąc w Warszawie, pytałem o to samo dyrektora [„Iskier”] Szymańskiego. Nie spodziewam się książki prędzej niż we wrześniu. [...] Ja sam nadal niepokoje się o los „Oficera”, ale moja obawa oparta jest na czym innym niż opóźnienie czasowe. Zauważyłem mianowicie, że do czytelników dociera tylko warstwa fabularna (mówiąc ściślej – do większości czytelników). Warstwa fabularna, która się przejadła. Takich intryg i układów (intryg w sensie związków fabuły) mamy na kopy we wszystkich środkach przekazu, tak więc zjętaczność samego „dziania się” jest oczywista. Potwierdzają to moje (krótkie, ale treściwe) rozmowy z KTT* i z p. Szypulskim. Oni „Oficera” nie „przeczytali”, a jeśli nie „przeczytali” go tacy fachmani, to cóż amatorzy? Ale to – jak się mówi – inna para kaloszy [...].

Zaciekawiony takim obrotem sprawy, próbowałem dowiedzieć się o dalsze losy scenariusza i filmu. Jak Pani zapewne wiadomo, „Iluzjon” rozleciał się bezpowrotnie, w związku z czym znalazłem się na lodzie. KTT stracił na film ochotę i nie bardzo wiedział, jak się z interesu wycofać, więc – mimo że po obejrzeniu fragmentów w Starej Prochowni sam tej ochoty nabrałem i zaczynałem z Szypulskim spory na temat jego propozycji przeróbek – ja się wycofałem.

Przy okazji – nabieram coraz silniejszego przekonania, że nasz artystyczny „byznes” to ruchome szkło, pływająca masa, do której jestem coraz mniej przekonany. Ale – to jeszcze inna para kaloszy. Zaś ja znalazłem się w samym środku wydarzeń, przy których można uskrajać materiał na trzy fil-

my dziennie i dwie powieści na tydzień. Takie, które zadowolilyby najbardziej spragnionych sensacji. Nie umiem chodzić po bagnie, a po takim przyszło mi stąpać, i mimo że zawsze zakładałem siebie jako zimnego obserwatora – zawsze stałem się głównym lub czołowym aktorem zdarzeń.

Niedawno złożyłem rezygnację ze stanowiska wicedyrektora – powodowany zmęczeniem, podjazdami szefa, brakiem głowy do pisania i zdrowiem wreszcie. Robiłem to z prawdziwym żalem, bo ostatnio miałem dla siebie pole tworzenia nieogarnione – rozpocząłem tytaniczne zadania z zakresu „prac organicznych”, tworzenia nowego zakładu od podstaw.

I nie bardzo chcę mnie puścić (chcę wrócić do Pracowni Projektowej), co jest może miłe, ale wywołuje falę spekulacji, której stałem się obiektem.

Mimo tych wszystkich przeszkód przepisałem i pobieżnie skorygowałem moją nową pracę, której dałem tytuł „Próba”. Wczoraj przywiozłem ją do Warszawy (poniedziałek, 6.07.81) i, ponieważ nie zastałem Pani w wydawnictwie, zostawiłem w sekretariacie z prośbą o przekazanie jej Pani. Muszę wyznać, że się boję. Boję się o wiele bardziej niż przy wstępnej ocenie „Oficera”, bowiem teraz, zrobiwszy „Oficerem” początek, mogę się potwierdzić albo sobie zaprzeczyć.

Rzecz jest o dygnitarzu, którego dręczą wyrzuty sumienia (zdają sobie sprawę z banalności tego rodzaju określeń, ale trudno znaleźć krótsze) dotyczące sposobów robienia przez niego kariery i sprawowania władzy. Pomysł fabularny jest trochę zwariowany – wojewoda Ratajczak na wpół postanawia, na wpół chce rzucić wszystko w diabły, ale rzucić w sposób szczególny – robiąc świństwa, które spowodowałyby jego „odejście na własną prośbę”, zwolnienie, nawet aresztowanie. Robi te świństwa, a oczekiwanych skutków nie widać, co go coraz bardziej przekonuje o absurdalności układu, w jakim „funkcjonuje” (to ulubiony „wytrych” naszego byłego pierwszego w KW). I to jest wszystko. Pomysł powstał równoległe z „Oficerem”, przy jego realizacji wykorzystywałem strzępki legend krążących w województwie piłskim i moje osobiste kontakty z „szefami”.

Obawiam się, że „Próba” zostanie odczytana jako odbicie fali po sierpniu, jako odbłask lat siedemdziesiątych. U nas te przedziały i okresy są szczególnie funkcjonalne. A niestety – i ja, i inni przed rokiem 1970 też umieli patrzeć i myśleć. Rzecz dotyczy naszej realizacji socjalizmu (za którym jestem cały czas!) w ogóle i daje moją osobistą przepowiednię na przyszłość. Niestety – przepowiednię. Ostatnie zdanie podkreślam następnym samochwalstwem – i ja, i inni po roku 1980 też umieli patrzeć i myśleć. Szkoda tylko, że nie mogę zdobyć się na powiedzenie o sobie (może – na razie), że jeżeli negacja, to co w zamian? Co za układ, który nie będzie miał tak rozwiniętego załączka

gnicia? Może jestem z pokolenia, które na ułożonej wzdłuż wzrastającej osi sinusoidzie historii zaprzecza sensowi rewolucji, opowiada się za ciągłością przemian i świadome jest istnienia raka? (ależ grafomania!) Może, do jasnej cholery, jestem jednym z tych, których bardziej cieszy budowa domu niż jego zburzenie i którzy wierzą w remonty? Nie wiem, i dość na tym. „Próba” jeszcze nie jest odpowiedzią. „Próba” jest zdecydowaną negacją.

Za wiele Pani o niej opowiadam, pewnie ze strachu. Czas będzie kończyć, bo kartki nie zmieszczą się do koperty. [...]

Tadeusz Siejak

* KTT, czyli Krzysztof Teodor Toeplitz, publicysta i krytyk filmowy, nosił się przez krótki czas z zamiarem napisania scenariusza filmowego na kanwie Oficera.

(Chodzież) 17.05.1982 r.

Szanowna Pani,

[...] Bardzo dziękuję za wiadomość o „Próbie”, cieszy mnie ona, chociaż mam bardzo przykre wieści o działaniu cenzury. Widziałem wykreślone z tekstu rzeczy, o których „filozofom by się nie śniło...”

Miewam się rzeczywiście dobrze, dużo pracuję, trochę piszę, przekroczyłem trzysta stron „Pustyni”. Wyraźnie ukształtował mi się cykl powieściowy o pokoleniu synów „homo novus”, jak to określa Henryk Bereza. „Oficer”, „Próba”, „Pustynia” – te książki są (będą) bardzo podobne. „Pustynia” będzie książką straszną i kiedy się ukáže, zostaną wyklęty, to pewne. Ale – jeszcze czas.

Poza tym – jest nareszcie prawdziwa wiosna. Nie wiem, jaki jest Pani dostęp do jej dobrodziejstw, ale ja mam to w każdym miejscu i w każdej chwili. To całe piękno jest trochę jak ochłap rzucony skazańcom, tak to czuję. To piękno nie do opisanie słowami, które nagle powstało i tak dobitnie udowadnia nam przemijanie...

Jeszcze raz dziękuję za list, przepraszam za długie milczenie, przekazuję pozdrowienia od rodziny i siebie.

Tadeusz Siejak

Chodzież, 85.10.05.

Pani Mario,

piszę ten list przepelniony wstydem. Przed tygodniem zacząłem pracę nad „Pustynią”. To właśnie przyczyna owego wstydu.

Pozostając przy ideowej warstwie, nadal w pełni przekonany i pewien swego, wstydę się wielu wycieczek za „granicę grafomanii” w formie. Czas, jaki upłynął od napisania „Pustyni”, lektury ostatnio poznane, szkoła, którą stanowiło opracowanie „Próby” dla teatru – oddaliły mój punkt widzenia i (co daj Boże) uczyniły bardziej bezlitosnym dla siebie.

Kreślę więc, zmieniam, przepisuję. Jest bardzo mało miejsc, w których uwagi Pani, wyrażone na marginesach, nie trafiłyby mi do przekonania.

Na dodatek – czytam właśnie Brunona Schulza, Wańkowicza, przeczytałem „Dzienniki” Gombrowicza. Wszystko to razem powoduje, że coraz poważniej myślę, czy nie odłożyć pióra i, chociaż jest w tym pewnie trochę podświadomej kokieterii, coraz mniej wierzę wszystkim entuzjastycznym recenzjom.

Być może, stan ten okaże się doświadczeniem cennym i przejściowym, może jednak będzie stały, a przez to cenny mniej...

W każdym razie (pod)świadomość bycia literackim uzurpatorem, w dodatku z nadania, dokucza mi bardzo.

Z pokorą, z pokorą kreślę „Pustynię” i raz po raz zaglądam do mojego listu-protestu do Pani*, z wiosny tego roku, też go się (trochę) wstydząc, zaś list dzisiejszy piszę, by się (trochę) wytłumaczyć oraz wyjaśnić powody opóźnienia w pracy.

Spodziewam się oddać książkę gdzieś w drugiej połowie listopada, pod warunkiem, że jakieś nowe okoliczności nie przeszkodzą mi w tym. Myślę, że czeka nas jeszcze długa dyskusja nad maszynopisem – podobnie jak było z „Oficerem”.

Bardzo dziękuję za ogromną pracę Pani przy „Pustyni”. Serdecznie pozdrawiam

Tadeusz Siejak

* List-protest dotyczył mojej krytycznej (wewnętrznej) recenzji *Pustyni*, sprovokowanej przez autora, któremu nie wystarczały słowa bezwarunkowej akceptacji. Przez przekorę postanowiłam „pogrymasić” i „powymądrzać się”, wbrew zasadzie przyjętej wobec budzących zawsze mój szacunek utworów Siejaka (jeśli już, to stawiałam mu „robocze” pytania na marginesach maszynopisów). Zareagował gorącymi zaprzeczeniami i wyjaśnieniami.

Chodzież, 22.10.88

Maria,

dziękuję za przystanie numeru „Kierunków” z Twoim szkicem. To jasne, że mnie zainteresował. Z ludzi, których wymieniłaś i opisałaś, nie znam zu-

pełnie Łuczeńczyka. Mam jego książkę, „Źródło”, ale przyznać muszę, nie zainteresowała mnie. Nie przeczytałem do końca.

Moim zdaniem, z całej piątki najbardziej literacko uzdolniony, sądząc po dziełach (bo znam go osobiście od zupełnie innej strony), jest Schubert. Szkoda, że na razie wypalił się do całkowitej bezczynności pisarskiej. Nikt z nas, nawet Józek [Łoziński] nie dorównuje mu w kreowaniu językowej rzeczywistości...

Co do mnie – przeżywam właśnie moment literackiego zachwiania wiary, jak zawsze, gdy zbliżam się do finału jakiejś mojej książki (każda z nich wydaje mi się zawsze gorsza od poprzedniej, gdy brać pod uwagę formę...), tak więc wszelkie pochwały obciążają mnie psychicznie, jak sportowca faworyta...

Ciążą mi własne słowa, już kiedyś napisane, ciążą sposoby pisania, których nie chciałbym powtarzać, ciążą myśli, których mam tłum, a wypowiedzieć w atrakcyjny sposób nie umiem, ciąży rzeczywistość, która tak wiernie i prędko podąża w kierunku, jaki opisuje filozofia, również moja... *

Zdaje się, że mój obecny stan ma znamiona tzw. dezintegracji osobowości. Byle pozytywnej...

Mam już 596 stron „Dezertera” (w dniu, w którym piszę do Ciebie) i drugie tyle, ilościowo, zwątpień co do tej książki.

Wszyscy mi odradzają kontynuację tematyczną trylogii, a tu pcha się na papier były dygnitarz rangi wojewódzkiej, leczący się po operacji wrzodów żołądka w pobliskim sanatorium. Rad bym go umieścić w składzie „narodowej dyskusji”, jaka ma się odbyć w bacówce mojego bohatera – to byłby jedyny sygnał ciągłości fabularnej i problemowej – wtedy już tetralogii...

Dyskusja – wiem, o czym chcę napisać, nie wiem, jak napisać, żeby nie był to rozpisany na głosy wykład filozofii i socjologii... Wszystko to sprawia, że nie spieszę się z pisaniem, znajduję wiele pretekstów i przyczyn prawdziwych, by odkładać robotę na zaś (to wielkopolskie), i rzadko mam świadomość, że mi „wychodzi”. Rozdział o bacówce to, jak na razie, jeden wielki opis przyrody polskich gór i erotyzm „przypadkowy”, który uświadamia bohaterowi, że czas jego młodości już minął, że istnieje p r z e m i j a n i e i koniec. Coś mi się zdaje, że bohater przechodzi przez moją własną smugę cienia...

Jest w tej powieści wielka liczba symboli z naszej narodowej i światowej mitologii – niektóre przejrzyste, niektóre zakryte, trochę się tym bawię, trochę robię je podświadomie, nie wiedząc dokładnie, do czego w końcowym rezultacie posłużą.

Rzecz jasna, że język nie będzie tu szokiem (zwłaszcza po Schuberście i poprzednich moich książkach), bo rzecz dzieje się w innych środowiskach (cho-

ciaż w dyskusji będą też „niskie”, staram się jednak bardzo o melodię, której nikt z Was nie zauważył w opowiadaniach filozoficznych) i, jak zawsze, o autentyzm i adekwatność mowy poszczególnych postaci.

Mógłbym Ci jeszcze wiele opowiadać o „Dezertersze”, ale to nudne. Nie mam sumienia nudzić Cię dalej. Miałem być dzisiaj w Bernie na premierze sztuki wg jednego z moich opowiadań filozoficznych („Książę czasu”), ale nie dostałem na czas paszportu i nie pojechałem. Dobrze się stało, bo byłem ostatnio przemęczony, a układ kalendarza nie wskazuje na rychły wypoczynek. Tyle.

Pozdrawiam serdecznie

Tadeusz Siejak

* Wyrażona w eseju Głód sensu oraz w opowieściach Książę czasu, Namiot wodza, Wielki sptyw.

Chodzież, 11.12.1988

Mario,

[...] Byłem w Warszawie w środę [...] Zostawiłem Ci na biurku moje dwa opowiadania filozoficzne („Namiot wodza” i „Książę czasu”) i parę opowiadań „zwyczajnych”, z dawnych czasów. Przy tym wszystkim przegapiłem najlepsze ze „zwyczajnych” opowiadań, pt. „Miłość”, które było drukowane w 6/85 numerze „Pisma”. Gdybyś miała ten numer pod ręką, możesz przeczytać. To, przy okazji, mój debiut zagraniczny, bo to właśnie opowiadanie zostało przetłumaczone na niemiecki (NRD).

Bardzo jestem ciekaw Twoich odczuć przy czytaniu tej mojej filozofii, tak odrzucanej przez krytykę literacką. Mam podświadome przeczucie, że owe właśnie opowiadania n i e s ą p r z e c z y t a n e... Ale może to tylko mój upór? [...]

Pytasz o wrażenia z Glasgow. Otóż są mieszane. Nie zaszokowała mnie zachodnia technika, co wszyscy przepowiadali. Być może, jestem z techniką obyty przez swój zawód. Nie widziałem Londynu, bo tam była tylko przesiadka na samolot krajowy, ale architektura, jaką mogłem zobaczyć w Glasgow, nie podobała mi się w żadnym razie. To miasto przypomina Łódź, przy czym, moim zdaniem, jest dużo mniej od Łodzi ciekawe, choć jest dużo czystsze. Pomijam tu ofertę sklepów, to jasne.

Przyjęto nas bardzo mile, ale z istic angielskim chłodem, wyzierającym spod uprzejmości. Na takie traktowanie jestem bardzo uczulony. W trakcie

wizyty okazało się, skąd ów chłód się wziął. Cała nasza ekipa „sztuk dyskursywnych” (więc literatury właśnie) była podzielona na warstwy „sługusów reżimu”, „zaakceptowanych przez reżim” i „niezależnych”. Ja i poetka ze Śląska, Marysia Korusiewicz (znasz?), należeliśmy, jak się okazało, do grupy środkowej. Po moim wieczorze autorskim pogląd ten się nieco zmienił i niektóre osoby usiłowały jakoś nadrobić skutki tego głupiego podziału. Ta dobra wola spowodowała, że dopiero wtedy mieliśmy ilustrację różnic w traktowaniu i przyjmowaniu poszczególnych warstw.

Niezależnych było trzech. Ich przewodnik, czyli Jacek Woźniakowski, profesor historii sztuki z UJ i KUL-u, oraz „uczniowie”, czyli Paweł Huelle (tak, ten od „Weisera Dawidka”) i Bronisław Maj, poeta z Krakowa, twórca gazety mówionej „NaGłos” (ten ostatni „ujął” mnie szczególnie tym, co powiedział o Schubercie: „poczułem się zwolniony z obowiązku czytania już po dwóch stronach „Panny Lilianki”). Chłopcy ci przyjmowali należne im hołdy ze szczególną wyrozumiałością, nie bardzo chcieli rozmawiać ze „sługusami reżimu” (nami) i grali swoje role bardzo poważnie. [...]

Poza tym było bardzo miło. Nie miałem nawet czasu na zwiedzanie, bo musiałem pomagać w tłumaczeniu moich tekstów (to rzecz niewykonalna). Nauczyłem się bardzo wiele (o ludziach), poznałem wielu ciekawych ludzi (Adam Czerniawski, Jan Chodakowski z „Pulsu”), tyle że skażonych nienawiścią, podsycaną, jak się zdaje, przez ich własne wyrzuty sumienia uciekinierów i zupełnie nie rozumiejących dzisiejszej Polski.

Oczywiście, kup mi „Dzieci Arbatu”, jeżeli to możliwe*. Nie wiem, czy będę w Warszawie przed świętami, raczej wątpię. Odbiorę potem. Serdecznie pozdrawiam

Tadeusz

* Dzieci Arbatu A.N. Rybakowa, pierwszy literacki symptom pieriestrojki w ZSRR, wydane przez „Iskry” w 1988 roku, robiły wówczas zawrotną karierę handlową.

Chodzież, 1989.04.07

Mario,

[...] Jestem teraz w sytuacji zawieszenia (kiedy wreszcie padnę i zostanę podłączony do maszyny – a dziś wycisnąłem na ławce 100 kg, jak za najlepszych czasów!), która odsuwa ode mnie świat gdzieś w obojętną dal. Gdyby nie praca, w której muszę o tym zapomnieć i daję się jeszcze ponieść bez dy-

stansu, popadłbym w stan zupełnego braku motywacji, czyli, z mojego punktu widzenia, przestał być człowiekiem...

Być może, i to doświadczenie przyda się kiedyś, jeżeli to „kiedyś” będzie. W każdym razie dostałem już skierowanie do chirurga, który ma mi wypręparować żyły w przedramieniu, gdzie będzie można podłączyć sztuczną nerkę.

Kończę najtrudniejszą część „Dezertera”, czyli ów sławny dialog w baćcówce, po którym zostaje zamordowany jego główny mówca, przyjaciel bohatera, ksiądz, który broni socjalizmu przeciw niedarownym działaczom partyjnym (np. wojewodzie Ratajczakowi, który jest właścicielem fabryki puszek dla piesków...). Reszta powinna już pójść w miarę gładko.

Kończą się zdjęcia do filmu wg „Próby”, w wersji jak Ci opowiadałem, a ja jeszcze nie byłem na planie. Wybieram się tam w przyszłym tygodniu.

Muszę się pochwalić. Węgrzy złożyli ofertę na druk kilkunastu autorów polskich u siebie. Każdy z nich ma w tej ofercie po jednej książce, tylko Siejak ma wszystkie trzy... Zdaje się, że po przełożeniu „Próby” mam u nich powodzenie. [...]

A poza tym – wiosna! U mnie widać ją tak dokładnie, że chwilami nie mam wcale ochoty na robotę przy biurku i uciekam na działkę albo do sadzenia drzewek. Posadziłem ich w tym roku, razem z krzewami, z pięćset. Jak to wszystko kiedyś wyrośnie, będzie puszcza. Obym mógł ją zobaczyć z dołu, nie tylko z góry, kiedy mało już mnie będzie interesowało...

Pozdrawiam Cię więc na wiosenny sposób – rośnijmy i niech do zimy jak najdalej.

Tadeusz

Chodzież, 89.12.09

Maria,

nareszcie mogę spokojnie usiąść przy biurku, by napisać do Ciebie. Biegam ostatnio jak oszalały, bo czasu jest mało*, a do zrobienia tak wiele – zarówno w zawodzie, jak w życiu i literaturze.

Mam nową funkcję – jestem od spraw rozwoju mojego zakładu, czyli nazywam się wreszcie adekwatnie do treści mojej działalności. Moim zadaniem jest rozwój samej bazy technicznej, jak rozwój produkcji, a także, co teraz najciekawsze, ale najbardziej absorbujące, rozwój techniki przez nas stosowanej. Pole do działania mam ogromne, kontaktów bardzo wiele w całej Polsce, a zapowiada się, że nie tylko styczność z nauką, techniką i, niestety, coraz powszechniejszym w tych sferach cwaniactwem finansowo-osobistym...

Wprowadzam nową technikę, która często okazuje się być wielkim bluffem pseudonauki, i pochlebiam sobie przy tym, że niektóre nasze pomysły wcale nie są gorsze od cudzych. Jak zapewne pamiętasz, działałam w ekologii, najkrócej mówiąc, w zakładzie glutnajstrów, budujących oczyszczalnie ścieków.

Dużo czasu zajmuje mi ostatnio zdrowie. Dowiedziała się o mojej sytuacji pani [minister] Cywińska i z miejsca załatwiła mi kontakt z Instytutem Transplantologii w Warszawie. Byłam tam już na badaniach [...] muszę być jeszcze raz operowany przed ewentualnym przeszczepem, żeby usunąć chorą i grożącą odrzutem przeszczepu nerkę. Może się uda...** Czuję się jednak bardzo dobrze i to pozwala mi na tak dużą aktywność (bo jeszcze wznowiłem lekkie treningi kulturyistyczne).

W zeszłą środę zawiozłem do „Iskier” „Dezertera” [...]. Nie wiem, czy zdecydujecie się na wydanie, ale gdyby, to będę prosił dyrektora o taki sam jak zawsze skład obrabiający powieść, łącznie z ilustracją na okładce Macieja Buszewicza.

Ten maszynopis jest pełen błędów, chociaż starałem się wszystkie je poprawić lub zamalować korektorem. Ich liczba świadczy o poważnym zachwianiu mojej uwagi i możliwości skupienia – to pewnie przez stałe jej naruszanie przez sztuczną nerkę... Przyznam, że boję się ocen bardziej niż za pierwszym razem, przy „Oficerze”. Boję się tym bardziej, że wciąż mam do mojej własnej powieści niejednorodny stosunek. Raz wydaje mi się znakomita, innym razem do niczego, nudna, literacko kiepska. Pewnie musi upłynąć trochę czasu, by ocena własna wyklarowała się i stała się jasna. Na razie, jak zawsze, mam na jakiś czas dosyć tekstu i odłożyłem go jak najdalej. Pewne jest jednak, że jest ona przeciw wszystkim, jak w westernie, przeciw całej dzisiejszej mętnej propagandzie, jak poprzednie moje powieści były przeciw temu, co było. Czy ja zawsze już będę skazany na bycie przeciw?

Coraz pewniej twierdzę, że cofanie historii skazane jest na niepowodzenie. My usiłujemy to zrobić, sprawy jeszcze się nie wyważyły do końca, ale to grozi. Groźny byłby powrót do kapitalizmu, podczas gdy Zachód coraz wyraźniej zmierza do komunizmu. Paradoks? Nie, tak jest w istocie. Myśmy zapłacili za bilet (najwięcej Rosjanie), a kto inny wejdzie do kina. Zostaniemy znowu w tyle świata, który musi przejść do epoki wspólnotowej, wie o tym i robi to, mówiąc zupełnie co innego. Czyżby szykował sobie z nas zaplecze, tanie i łatwe do eksploatacji? Pytasz, czy możliwa jest Europa bez granic. Moim zdaniem, jest możliwa, nawet konieczna, ale ze Wschodem, który nie będzie tylko zapleczem, ale równoprawnym uczestnikiem procesu jednoczenia świata, od Europy rozpoczętego. Nie będziemy równoprawni, jeżeli postawimy na system, który na Zachodzie już dobiega kresu, jak koń dobiegający do mety. Kapitalizm jest takim systemem. Tak więc znowu jestem przeciw. [...]

Zdarza mi się czytywać owe osławione książki emigrantów i niezależnych (od czego? – jakże denerwuje mnie szermowanie, ba, kupczenie tym słownym wytrychem!), zdarza mi się czytywać książki koniunkturalne, [książki wypełniające] białe plamy, martyrologię itp. Nie wszystkie one są książkami dobrymi, jest wśród nich zaskakująco wiele literackiego baracha – myślę, że ludzie, kiedy przejdzie im owczy pęd ku „wolności”, poznają się na tym, zaczętną wybierać również tutejszych, tych, którzy nie mieli dostępu do Paryża, nie korzystali z kontaktów, nie noszą garbu męczenników za sprawę (nie co do wszystkich wiadomo, za czyją sprawę, gdyby przejrzeć metryki, znalazłoby się ich kilka całkiem sobie przeciwnych...). Wiem, że tryskam w tym żółcią, ale do pasji doprowadzają mnie niektórzy reformatorzy, którzy wcześniej śpiewali w całkiem innym chórze, i to bardzo głośno. Niech im będzie. Jesteśmy jednak bardzo owczym narodem... Scena z pochodu pierwszomajowego w „Próbie” nie jest ani trochę przesadzona. Szkoda.

W tym świetle „Dezerter” może mieć trudności, tym bardziej że nie ukrywam swoich poglądów i głoszę je, gdzie mogę. Zdarzyło mi się parę razy powiedzieć w telewizji i gdzie indziej, ale wszędzie publicznie, że świat zmierza do komunizmu i że uważam to za wyznacznik człowieczeństwa, a ja sam, jeżeli pretenduję do bycia chrześcijaninem, nie mogę nie być komunistą. Słowo to, jak sama wiesz, wznieca sercowe pożary, odbiera rozum i wkłada miecze do ręki. Wkłada je zwłaszcza tym, którzy wczoraj mienili się marksistami. Słowo to bowiem kojarzy się jednoznacznie z obozem koncentracyjnym, z jakiego właśnie wychodzimy, z jakiego nie wiemy – dokąd wyjść... [...]

Pozdrawiam serdecznie –

Tadeusz Siejak

P.S. Nie bądź zbyt łagodna przy ocenie „Dezertera”...

* Siejak, od dzieciństwa chory na nerki, zdawał sobie sprawę z bliskości kresu życia.

** Nie udało się. Instytut Transplantologii w Warszawie, stwierdziwszy, że organizm pacjenta jest zbyt wycieńczony, by przyjąć przeszczep, odesłał go z powrotem do szpitala w Pile.

Chodzież, dnia 1990-07-29

Maria,
dziękuję za list z wiadomościami o „Dezerterze”. Zawiozłem go do wydawnictwa na początku lipca, korzystając z okazji delegacji do Warszawy w sprawach zawodowych i zdrowotnych.

Twój tomik poetycki [„Córkę Ikara”] oczywiście dostałem, ale nie dawam ci go, wiedząc, że jesteś na urlopie.

Przede wszystkim gratuluje. Pięknie wydana, piękna książka. Jak wiesz, nie umiem oceniać wierszy, nie czuję się na wysokości zadania, instynktownie zaliczając poezję do dziedzin sąsiadujących z geniuszem. Dlatego nie odważę się na moją prywatną recenzję – to byłaby profanacja.

Myślę, że większość z nich [wierszy] powstała z bólu, zwłaszcza tych starszych, z lat siedemdziesiątych. Tak to już jest – sztuka jest najczęściej perłą, czyli „otoczeniem” bólu... Szkoda jednak, że odżegnujesz się od poezji; ale może to tylko chwilowe, może teraz piszesz wiersze radosne albo wielkie, jak ten ostatni?

Jeszcze nigdy, żadnego lata, nie byłem tak zajęty pracami pożytecznymi. Niewola u sztucznej nerki powoduje, że nie mogę nigdzie wyjechać, uroki miejsca, w którym mieszkam, ułatwiają szybkie kontakty z naturą, więc mam trochę czasu, który spożytkowuję na pisanie. Kończę przepisywanie następnej książki, tym razem rozprawy filozoficznej „Głód sensu”. Potem poprawianie opowiadań ze starych lat, potem poprawianie sztuki teatralnej, potem może powieść „Tam, dołem, płynie rzeka”. Zobaczymy. Jestem już daleko od „Dezertera”, który był jakimś stopniem myślenia bardziej filozoficznego niż literackiego; wielkim dla mnie stopniem w myśleniu. Może dlatego sprawił Ci tyle kłopotu, bo odruchowo, sądząc po skreśleniach, eliminowałam nadmiar filozofowania z tekstu, co starałam się respektować przy mojej końcowej redakcji (choć, przyznam, niektórych rzeczy było mi trochę żal...).

Podziwiam Twoją determinację przy wydaniu „Córki Ikara”. Dziękuję za egzemplarz – stoi na honorowym miejscu na półce.

Pozdrowienia

Tadeusz Siejak

Chodzież 91.07.20

Maria,

piszę do Ciebie ze smutnym zawiadomieniem. Twoja ogromna praca nad „Dezertem” w „Iskrach” właśnie poszła na marne. Kilkanaście dni temu, na moją prośbę o informację, dyr. Uchański odpowiedział mi taktowną propozycją szukania innego wydawcy. Co miałem robić – zacząłem szukać, zawiadamiając o tym „Iskry”. Prawie natychmiast, dziś właśnie, otrzymałem do podpisu porozumienie o rozwiązaniu umowy. Jest podpisane i zapakowane w kopertę.

Tak więc bardzo niedługo po twoim odejściu i ja wynoszę się z „Iskier”. Szkoda. Ja się łatwo przywiązuję i łatwo ulegam złudzeniom o stałości pew-

nych struktur. Mają mi zwrócić maszynopis, może więc nie cała Twoja praca zostanie zmarnowana i wykorzysta ją inny wydawca. [...] Przewiduję jednak ogromne trudności z umieszczeniem gdziekolwiek tej powieści. A może ona jest do niczego? [...]

Kraj nam się rozpada, wartości się pokruszyły, został pieniądź z całą swoją drapieżnością i ohydą, co dalej? Dokąd zmierzamy, jeśli nie do tyłu?

Jeśli dotyczyć naszej wspólnej „branży”, czyli książki, to od roku nie widziałem na żadnej z wystaw księgarń ani jednej nowo napisanej, poważnej powieści współczesnej, takiej, która próbowałaby coś głębszego powiedzieć o nas, dzisiejszych. Przerazające jest, że daje się tylko Follety, Mac Leany, cierpienia narodowe i pamiętniki wczorajszych cesarzy. Czyżby wszyscy piszący zamilkli? Przecież tylu nas było! Poetów, prozaików, eseistów. Gdzie zostaliśmy zepchnięci?

To rządy młodego pieniądza. Nieuchronna deprecjacja kultury do rzędu towaru. Kultura w swych wyższych piętach nie może być towarem, bo jest dobrem podobnego rodzaju jak powietrze, woda, życie samo. Żeby więc być towarem, musi zejść na piętra najniższe, do jarmarku, usługowej rozrywkowości, musi pozbyć się refleksji i prób zrozumienia sensu. I schodzi, jak wiadać. Boleję nad tym i krzyczę, ale nikt nie chce słuchać. Czy się kiedyś obudzimy z tego piętelnego letargu? Pewnie tak, ale o ile biedniejsi duchowo?! Cokolwiek zaczynam pisać czy mówić, zawsze kończy się na tym samym jęku. Sam siebie zaczynam tym nudzić...

Tadeusz Siejak

Chodzież, dnia 1991.11.02

Maria, piszę bez szczególnego powodu, ot, tak, towarzysko i dla pamięci. Nie bardzo mam o czym pisać, bo życie toczy mi się od dializy do dializy, monotonnym, a coraz szybszym rytmem, ku coraz głębszej degeneracji cielesnej i, zapewne, co mi trudniej ocenić, postępującej za nią duchowej. Jestem zamknięty w przymusowej jednostajności i odczuwam to jako rutynę i nudę, bo nawet w pisaniu mojej książki życia – „Tam, dołem, płynie rzeka”.

Urosło tego do siedmiuset stron bez mała, a dopiero jestem w roku 1958, czyli dziesiątym roku życia mojego bohatera. Cała ta powieść coraz bardziej obniża mi się ku zwyczajności, a ja sam jestem coraz bardziej przekonany, że zwyczajność jest najważniejsza. Byłe nie stało się to nadmiernie proustowskie, a trudno mi się z tej tendencji wyzwać. Tak więc powieść ta staje się coraz bardziej jak życie, które jest ciągłą tęsknotą za Wydarzeniem, a łąduje w coraz

zwyczajniejszej zwyczajności. Boję się, żeby ta moja książka nie stała się nadmiernie rozciągnięta, ale obronić się przed tym nie potrafię. Wobec ludlumów jestem więc wyraźnie nie na czasie, pocieszając się nadzieją, że może do czasu, aż ją skończę, refleksja i zwyczajność znowu staną się ludziom potrzebne.

Tymczasem nasz świat biegnie, jestem pewien, że w złym kierunku. W Polsce czuć coraz wyraźniejszy zaduch nie wietrzonego, mieszczańskiego mieszkania. Jakieś stare kurze, gotujące się w kuchni kalafiory, dawno nie prane nocne koszule, mrok pokoju od podwórza w staromiejskiej zabudowie – mrok coraz ciemniejszy. Jestem obcy w takim mieszkaniu. Przedtem byłem tepicielem absurdów wynikłych ze zbyt wczesnego komunizmu, dzisiaj głoszę publicznie, że kto trochę myśli o tym, co widać i co się przeżywa, nie może nie być komunistą... [...]

Napisz parę słów. Pozdrawiam serdecznie.

Tadeusz Siejak

Chodzież, 92.06.03

Maria,

listem niniejszym wracam na łono literatury, które to łono opuściłem na czas ponad miesiąca, czując się nieco wyjałowiony po szybkim, jak na mnie, napisaniu blisko 1000 stron „Tam, dołem...” Spoglądam na datę i co chwila wychylam się za okno, by choć jeszcze trochę uszczknąć z tej wspaniałej „trzydziestki”, w jaką, nie wiedzieć kiedy, wyrosła nam wiosna.

Od dawna już, może ze cztery lata, nie było mi dane uczestniczyć w całym tym cudzie rozkwitu, w tym roku widziałem wszystko po kolei, od przebiśniegów i krokusów, przez tulipany, czereśnie, wiśnie, jabłonie, bzy, złotokapy, irysy, aż do kwitnących właśnie, obficie jak nigdy dotąd, akacji, czeremchy i szykujących się do kwitnienia róż i jaśminów.

Ten cud zachwyca mnie każdego roku mocniej i każdego roku wydaje się być krótszy. Już trzeci czerwiec? To niemożliwe! Przyspieszające przemijanie powoduje, że chciałoby się zabrać w siebie barwy i zapachy (nasze akacje, z których wiele sadziłem sam, pachną tak, że aż w głowie szumi), jakoś je przedłużyć na zawsze. Niestety, w materii wszystko jest czasowe, podlega władaniu tutejszego Księcia i musi się narodzić, zakwitnąć, wydać owoc i zgnić, rozproszyć się w innych, nowych rodzajach życia.

Alem się rozpisat! Pewnie przez ten zapach kwiatów akacji, przez nieruchome tło jasnego wieczoru, w którym pływają strzępy odgłosów z podwórza, jakieś rozmowy, urywki muzyki, szczekanie psów, płacz dziecka – materia dźwiękowa ludzkiej siedziby.

Przez ostatnie miesiące zajmowałem się wyłącznie techniką. Projektowałem różne urządzenia do oczyszczania ścieków i całe oczyszczalnie – rano, przed dializą lub w pracy, w czasie dializy, wieczorami, zamiast pisania. Przyznaję, że mi się to przejadło, chociaż na początku, w fazie obmyślenia, przynosiło wiele radości.

Bardzo się cieszę, że nie muszę robić korekty [„Dezertera”], choć mam też i wyrzuty sumienia, bo, wedle umowy, jest to mój obowiązek. Jednak – kraj na tym nie stracił, bo opracowałem przez ten miesiąc mnóstwo rzeczy, które powinny mu się przydać. To mnie trochę rozgrzesza.

Widziałem dwie okładki – tę dostowną, jakiejś młodej plastyczki, i tę Maciejka Buszewicza. Przyznaję, że miałem kłopot z wyborem, bo obie mi się podobaly. Wybraliśmy z Łukaszem Szymańskim Buszewicza, bo jego symbolika niósła znacznie więcej (niesie!), pewnie więcej niż on sam chciał czy mógł chcieć, a poza tym – Buszewicz jako autor okładki był moim osobistym życzeniem. Jeżeli trzeba, jestem do dyspozycji przy następnych korektach, chociaż przecież ufam Wam całkowicie.

Tym razem mam do Ciebie małą prośbę, wynikającą z bardzo rzadkich moich wyjazdów do Warszawy. W ubiegłym roku Teatr Nowy w Poznaniu zrobił „czytany przy stoliku” spektakl z mojej krótkiej sztuki scenicznej pt. „Krata”. Po odczytaniu (ok. 45 minut) była zawsze dyskusja z autorem (zdawało się, że dyskutanci chcieli mnie zlinczować), zazwyczaj gorąca i z pewnym napięciem, sprzecznością pomiędzy mną a widownią. Sztuka (właściwie sztuczka) jest mała, na dwóch aktorów i małą dekorację (tylko krata i żarówka), i wydaje się być teatralna. W jej pierwszych dialogach jest trochę łopatologii i banalności, ale to by się dało poprawić, tym bardziej że całość wiąże się z pojęciami i „stanami ducha”, jakie przyszło nam niedawno (i teraz) przeżywać i gorąco omawiać – z wolnością, człowieczeństwem i tym podobnymi grubymi ćwiekami z filozofii, wyprowadzonymi z konkretów, jakie dzieją się na scenie.

Już tylko czytana zrobiła na widowni pewne wrażenie, teraz mi się marzy, by była zrobiona w pełni, na scenie. Próbowaliśmy kiedyś dać ją Cywińskiej, ale, chwaląc pomysł, nie skorzystała. Próbowaliśmy dać ją do Teatru Małego, ale wtedy właściwie nie istniał. Dziś, jak słyszę, teatry warszawskie, niektóre, odżywają na nowo, chętnie więc podjąłbym kolejne próby zaproponowania „Kraty” któremuś z reżyserów z Małego czy Powszechnego.

Czy w następnym Twoim liście mogłabyś postać mi kilka adresów i nazwisk? Nie chcę się pchać na wielkie i renomowane sceny, te „małe” byłyby dla mnie najlepsze, ale z mojej odległości nie wiem, do kogo mógłbym się zwrócić. Mam nadzieję, że nie sprawi Ci to wielkiego kłopotu.

Mam przykre doświadczenia teatralne (łódzka „Próba”, brrr!) i filmowe („Próba” zrobiona przez Trzosa-Rastawieckiego, podwójne brrr!), ale „Krata” jest pisana dla sceny, jej wartość raczej w dialogu niż w sytuacjach, tak więc trzeba by mieć specjalny talent, żeby je popsuć.

Z góry dziękuję Ci za tę przystupę i przepraszam za kłopot.

Moje zdrowie ostatnio pozwala mi być, choć są i dokuczliwości. Do pisania wróciłem właśnie dziś, tym listem do Ciebie. W tym pisaniu [powieści „Tam, dołem, płynie rzeka”] czas bardziej robi się proustowski, u którego szczegół, oczywiście w innej zupełnie klasie społecznej – szczegół i codzienność, ta powtarzalna i „szara”, są najważniejszymi elementami pisania. Aż się tej „codzienności” boję...

Wiem jednak, o co mi w tej powieści (ogromnej, to robota na parę lat) chodzi i mam pełne pychy nadzieje, że będzie ona uczestniczyła w Wielkim Przekonywaniu, jak nazwał to Kałuzżyński w niedawnej „Polityce”, do przyszości, co rozumiem jako przekonywanie do komunizmu. Dziś, przy skróconej do pieniądza perspektywie i przy ogromnym pomieszaniu pojęć, brzmi to straszliwie dla większości ludzi. Pewnie łatwiej byłoby nam się zrozumieć z Twoim dalekim członkiem rodziny, Ludwikiem Waryńskim*, niż z większością współczesnych mi uczonych w piśmie. Mimo iż Waryński łudził się jeszcze, że Wielkie Przekonywanie można zrealizować siłą, wiedział wszak, do czego trzeba przekonywać. Dziś na pewno wiedziałby, że jedyne narzędzia tej roboty to słowo i własny przykład. Na miarę swojego czasu dał ludziom i jedno, i drugie. My nie potrafimy i nie chcemy, a szkoda, bo żałować nam przyjdzie, gdy będzie za późno na wszelkie słowa i wszelkie przykłady. Dlatego, między innymi, piszę „Tam, dołem, płynie rzeka...” Może mi się uda. Ale będziesz miała roboty! Robi się późno, kończę, pozdrawiam i przekazuję pozdrowienia od żony.

Niecierpliwie czekam na to, jak będzie przyjęty „Dezterer”.

Tadeusz Siejak

* Ludwik Waryński był narzeczonym (nie mężem) Aleksandry Jentysówny, mojej cioci-babci, nie należał więc do rodziny. Rozdzieliło ich jego uwięzienie. Historię tę Siejak znał z wydanej przez „Iskry” książki D. Wawrzykowskiej Wierciochowej Nie po kwiatach los je prowadził.

Chodzież, dnia 1993-01-15

Maria,

dziękuję za list i przesyłkę. Jak wiesz, rzadko pisuję na maszynie listy do osób mi znanych i bliskich, ale ostatnio moje pismo tak się popsło, że nawet

obeznane z nim maszynistki w moim zakładzie mają problemy z jego odczytaniem. To zresztą zależy, ile dni minęło od ostatniej dializy. Te doświadczenia sprawiają, że gdyby nie moje głębokie przekonanie o duchowości człowieka, skłonny byłbym sądzić, jak wielu innych, że to tylko maszyna biochemiczna, w której małe zmiany składu elektrolitów (na przykład) mogą wywołać (i wywołują, do cholery) zmiany osobowości. Mam nadzieję, że jednak, prócz charakteru pisma, niewiele więcej się we mnie zmieniło i nadal mogę z całą odpowiedzialnością prowadzić mojego bohatera „Tam, dołem, płynie rzeka”. Pytasz na końcu listu o tę powieść, ja odpowiadam na początku: rzeka płynie ciągle, raz wolniej, raz prędzej, dopłynęła do 330-tej strony drugiego tomu, pierwszy na razie liczy ponad 1100 stron.

Piszę: prowadzić mojego bohatera, a po prawdzie bardziej on mnie prowadzi niż ja jego... Zasiadając do pisania nigdy nie wiem, co się zdarzy za chwilkę. Może czasami, bardzo mgliście, ale nigdy nie do końca. To bardzo ciekawe, bo pisze mi się tak, jakbym czytał serial, sagę osobistą. W każdym razie pisze mi się na ogół bardzo przyjemnie.

Dostałem od Ciebie „Okolice”. Zaraz następnego dnia, na dializie, przeczytałem je całe, zaczynając oczywiście od Twojego opowiadania*. Oczekujesz ode mnie opinii, to trudne, jak sama wiesz, bo z tego długo żyłaś albo i jeszcze żyjesz, ale bardzo się staram. Przede wszystkim – temat i sfera życia, w jakim dzieje się rzecz cała. Tak jakś skonstruowała mnie Matka Natura, że te sfery, jak dotychczas, pozostają mi obce, najzupełniej nieznanne. Jestem z mózgu, a nie z serca, można by powiedzieć, i z wiekiem to się pogłębia, sam nie wiem, dobrze to, czy źle...

Mam też nadzieję, że nie osiągnie mnie szaleństwo, chociaż, tu przyznaję się tylko Tobie, po kilkumiesięcznej bezsenności, gdzieś przed świtem, gdy wszyscy śpią, a ja usiłuję nie czuć swędzącej od niedoboru elektrolitów skóry, powściągnąć jakąś paskudną niecierpliwą mięśni, cierpienie ciała, zabić galopujące myśli (swoją drogą, w te bezsenne noce przychodzą mi najlepsze pomysły i techniczne, i artystyczne), otóż niedawno właśnie przed takim świtem zaczęłam myśleć, żeby wytuskać z opakowania w s z y s t k i e te pigułki nasenne (które i tak nie działają) i wyjść z t a k i e g o siebie, odejść.

Świt gasi te potworne rozważania, ale one się raz po raz zjawiają i zaczynam rozumieć tych, którzy pragną śmierci. Gdyby nie było dzieci, pisania i pracy, nie wiem, czy te moje myśli nie urosłyby do rozmiarów odpowiedniego działania... Ale, jak mówię, świt gasi je skutecznie. Twoje opowiadanie czytałem o świcie. Po świcie. [...]

[...] Łatwiej mówić o technice pisania, o samym pisaniu, słowach i zdaniach niż o ładunku, który niosą. Nie wiem, na czym to polega, rzecz niez-

leżna od wieku, stanu społecznego, doświadczeń – pisanie debiutanta ma swoje bardzo osobne cechy. Może to – jeszcze – pierwsze zaufanie do słowa? Coś chyba koło tego. Zaufanie do opowiedzenia historii, stanu, odczucia, a nie do nieopowiedzianego dziania się rzeczy?

Czytam swoje pierwsze opowiadania, czytam pisanie młodych ludzi z najbliższej okolicy, a niektórzy z nich istotnie mają dar pisania, i ciągle mam to samo odczucie. Dokładniej nie umiem go nazwać. Wspominam to z wielkim sentymentem, bo jest zapewne objawem duszy jeszcze „niezawodowej”. To wszystko jest w Twoim opowiadaniu, to zaufanie do słowa i zdania. Z ilością napisanych słów zaufanie maleje, opowiadanie staje się coraz bardziej dzianiem się, a nie narracją. Więcej powiedzieć nie umiem, bo jak powtarzam. W tej sferze jestem z całą pewnością profanem. [...]

Na koniec – myślę, że jednak w poezji jesteś lepszą poetką, dużo lepszą, niż prozatką w prozie. Cała Twoja natura, jak śmiem sądzić, jest antyprozatorska, poetycka, jesteś sercem, a nie mózgiem. Wydaje mi się, że pisząc prozę, gwałcisz siebie. Nie wiem, czy warto gwałcić siebie, schodząc w dół, do prozy, czy nie lepiej zostać na poziomie wyższym, intuicyjnym, poetyckim. Mnie on nie jest dostępny, zazdroszczę wszystkim, którzy mają ten dar, Tobie też.

[...]

Tadeusz Siejak

* Mowa o miesięczniku „Okolice”, w którym w 1990 roku ukazało się moje pierwsze – choć z dawnych lat – opowiadanie Szok.

STANISŁAWA KOPIEC

Gospodyni z Niebieskiej Wsi

Stanisławę Kopiec poznałam w Warszawie, w redakcji „Zielonego Sztandaru” przy ulicy Grzybowskiej 4. Przybyła tam z dalekiej podrzeszowskiej wsi, by wziąć udział w zajęciach warsztatowych na temat sztuki poezjowania. Należała do podopiecznych Magdaleny Boratyńskiej, redaktorki działu literackiego w „Sztandarze”, zapewne miała już za sobą debiut na łamach tej gazety. Dla mnie jednak właśnie wtedy stała się odkryciem. Poproszono mnie o poprowadzenie „warsztatów”, jako że patron i mistrz adeptów poetyckiego pióra, Piotr Kuncewicz, akurat zachorował. Pracowałam w Redakcji Debiutów Literackich w „Iskrach”, recenzowałam tomiki wierszy dla „Regionów”, interesowałam się twórczością młodych, powierzono mi więc tę wdzięczną i niełatwą rolę na jeden raz.

Słuchałam kolejnych recytacji z zakłopotaniem, bo co powiem, gdy przyjdzie mi oceniać te nieporadności i naiwności?! W pewnej chwili podniosła się młoda niewiasta i spokojnym, równym głosem zaczęła mówić o „Ojczyźnie – biało-czerwonym osikowym listku na polanie Europy”, o „ziemi – starej Mateczce z garbem pagórków i naszych grzechów na plecach”, o „Lubeni w sadów huśtawce!” – swojej wiosce, „małej córeczce Matki Ojczyzny”... Poczułam wzruszenie, zachwyt. To było TO! Poezja! Dobry Los podsunął mi perłę.

Kiedy przyszło do wyrażania ocen, przy Stasi Kopiec oznajmiłam: „Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła wydać te wiersze w formie książki”. Po warsztatach wzięłam się bezzwłocznie do roboty. Nie minęły trzy tygodnie, a maszynopis *Niebieskiej wsi* był przygotowany do produkcji. Cykl wydawniczy w „tamtej” epoce – był rok 1986 – trwał jednak niezmiernie długo. Wprawdzie przy czwórce dzieci i gospodarskim zwierzyńcu, przy robieniu przetworów na zimę i załatwianiu zakupów szkolnych, przy żniwach, wykopkach i młocce, wśród krzątania po domu i obejściu czas się nie dłużył, niemniej lubeńska gospodyni-poetka nie mogła doczekać się tomiku – swego pierwszego poetyckiego „dziecka”. Jej listy zdradzały nie tylko niecierpliwość, ale zgoła niepokój...